

PIRAMIDY EGIPSKIE.

Starożytni, ze względu na ogrom massy, szczególne wewnętrzne urządzenie i dawność, kładą piramidy między pierwszemi cudami dawnego świata. Liczą do czterdziestu piramid różnéj wielkości, mieszczących się w przestrzeni 16 mil francuzkich między wsią Ghize, a piramidą Meydouna, najdalszą ku południowi.

Najznaczniejsze są piramidy na 5000 sążni od wsi Ghize, około pułtory mili od Nilu na wzgórzu, sto stóp nad powierzchnią rzeki wzniesioném. Jest ich trzy na jednéj linii w kierunku ku wschodowi na 400 do 500 stóp od siebie oddalonych. Cztery strony każdéj odpowiadają niemal czterem głównym punktom, północy, południa, zachodu i wschodu. Noszą nazwy swoich założycielów, którémi byli: Cheops, Cephrenes i Mycerinus.

Dwie piramidy ku północy są największe, a oraz najdawniejsze, i w czasie gdy pierwsi filozofowie i historycy Greccy do Egiptu podróżowali, już wtedy pamięć ich początku

wśród bajecznych podań, ginęła w niepamiętnej starożytności. Między historykami mówiącymi o tych pomnikach, najdawniejszy i najlepiéj świadomy Herodot, obok innych okoliczności wspomina, iż najprzód dziesięć lat odłożono na wystawienie grobli potrzebnéj do prowadzenia materyałów z miejsca wydobycia, aż na wzgórze gdzie pomnik miał być stawiany. Z każdéj strony téj drogi czyli grobli, był mur wystawiony z ciosanego kamienia, i ozdobiony hieroglifami. Potém plantowano wzgórze, na którém piramidą wznosić się miała; kopano kanały i podziemia, co wszystko drugie lat dziesięć zajęło. Nakoniec zaczęto budować samą piramidę, około któréj, według Diodora Sycylijskiego; sto tysięcy ludzi przez lat dwadzieścia zajętych było.

Kamienie do budowy przeznaczone, wydobywane były z gór wschodnich, na przeciwnym brzegu rzeki od strony Arabii. Niektóre z nich miały do 30 stóp długości.

Po wzniesieniu piramidy przez umocowanie kamieni jeden na drugim, które aż do wierzchołka stanowiły stopnie, zaczynając od góry, pokrywano powierzchnie pomnika kamieniem w trójkąty ciosanym, tak, ażeby w całości swojéj jednę powierzchnią tworzyły. Druga tylko piramida nazwana Cephrenową, dochowała jeszcze u szczytu część tego pokrycia.

O przeznaczeniu tych budowli, różne głoszono mniemania. Jedni upatrywali w nich obserwatorya, nie bacząc, że pokrycie zewnętrzne nie dozwalało wchodzić na ich wierzchołek, i że połączenie kilku podobnych budowli na jedném miejscu, temu twierdzeniu zaprzecza; a nawet góry poblizkie od piramid wyższe, mogłyby lepiéj do tego służyć przedmiotu. Inni uważali je za spichlerze Józefa, inni nakoniec za symbola pewnych religijnych tajemnic, i za miejsce przypuszczania do tajemnic różnych mistycznych obrzędów. Zdanie uczonych zgodne z świadectwem historyków, i rozpoznaniem budowli, uważać je dzisiaj każe za grobowce. Wznoszenie kamieni na grobie umarłych zdaje się być w istocie właściwe wszystkim ludom w stanie dzieciństwa żyjącym; podobne grobowiska napotykać można w Indyach i wielu krajach Europy; w Irlandyi jest dotąd pomnik takowy, mający 150 stóp wysokości.

U Egipcyan okazałość grobów uświęconą była niejako przez religią, równie jak balsamowanie umarłych. Nakoniec znaleziony w wielkiéj sali piramidy Cheopsa sarkofag granitowy, przeznaczony do zachowania mumii tegoż króla, wszelką w tym względzie znosi wątpliwość.

Niektóre piramidy stoją jeszcze w całości, inne zostały otwarte, inne są już w ruinach. Wewnętrze otwartych, zawiera rozmaite izby i galerye.

Piramida Cheopsa była głównie celem poszukiwań uczonych i podróżnych. Wchodzi się do niéj przez otwór szeroki wyniesiony 48 stóp nad ziemię, który do pięciu różnych kanałów, czyli korytarzy prowadzi. Te korytarze prowadzą w jednym kierunku od północy na południe przez podwójne wiązania do dwóch izb, z których większa, nazwana salą królewską mieszczącą w sobie sarkofag, jest niejako w środku piramidy pionowo do wierzchołka, nad drugą izbą, a na 160 stóp wysoko od ziemi. Są ślady, iż ta piramida, ma jeszcze inne izby i korytarze dotąd nie odkryte.

W korytarzu poziomym przytykającym do izby królowéj na samym dole, jest wydrążenie w kształcie studni lub komina, którego znana głębokość wynosi około 180 stóp; to wydrążenie po niejakich zakrętach dochodzi skośnie do skały będącéj podstawą budowy. Te miejsca zarzucone są gruzem i kamieniami, tak że daléj dostać się trudno. Mniemają niektórzy że przez te studnie rozmaite zakręty prowadzą do izb nieznanych, rozciągających się zewnątrz budowy, aż do Sfinxa.

Uważano także, iż większa część korytarzy po ukończeniu budowy, kamieniami zasypaną została, aby ciekawi izb odkryć nie mogli.

Wystawić sobie można, że dla tylu ciemnych, zasypanych i niebezpiecznych zakrętów, dla zepsutego w nich powietrza, zwiedzanie wewnętrza piramidy bardzo jest trudne.

Z wierzchołka piramidy jest widok czarujący. Na zachód oko gubi się w niezmierności pustyni, przeciwnie od wschodu żyzna dolina Nilu wystawia sporność bujnéj wegetacyi; a ludzie widziani u podnóża piramid, zdają się czołgać jak małe robaczki.

Francuzi podczas wyprawy do Egiptu umyślili wysadzić minami jednę z pomniejszych piramid, którą uważali za jeszcze nie naruszoną. Poświęcenie jednego z tych pomników nauczyłoby nas dokładnie o wewnętrznem urządzeniu budowy, i o sposobie chowania mumij królewskich; ale zaszłe wypadki niedozwoliły tego przedsięwzięcia dokonać.

O innych szczegółach piramid, jako też o sławnym Sfinksie, mówiliśmy wyżéj w Numerze 22, *Magazynu Powszechnego*.

GOŁĘBIE.

Wszystkie domowe zwierzęta, raz pod władzą człowieka będące, nie mogą już żyć bez niego, nagle uwolnione, wnet byłyby innych zwierząt zdobyczą. Koń i wół żyją zamknięte i uwiązane, owce strzeżone, a wszelkie ptaki domowe tak ociężały, iż latać nie mogą. Ale jeden tylko gołąb' stanowi wyjątek. On zawsze wiernym pozostaje rodzinnym strzechom; jeżeli we dnie szybkim lotem w bardzo dalekie oddala się strony, w wieczór powraca na miejsce zwyczajne. Ztąd mniemano, że gołąb' lubi towarzystwo człowieka; ale naturaliści mniéj ułudzeniom oddani, szukali do tego przyczyn mających bliższy związek ze

składem i fizycznemi nałogami tych ptaków.

Gołębie więcéj niż inne zwierzęta, ulegają dwom panującym uczuciom: naprzód, nie zdają się być szczęśliwe, tylko wtenczas, gdy w wielkiéj liczbie są zgromadzone, jakby przeto szukały obrony swojéj słabości, potém, tam tylko przebywają, gdzie jest żywność obfita, ponieważ głodu więcéj nad 24 godzin nie są w stanie wytrzymać. A tak mają tylko uczucie swojéj słabości i potrzeby pokarmu.

Gołąb' uchodzi powszechnie za wzór i godło miłości rodzinnéj, i w saméj rzeczy, pod tym względem wiele od innych ptaków się różni, bo długo zna swoje dzieci, okazuje im pieszczoty i troskliwość wtenczas, gdy już same wyżywić się mogą. Ale naturaliści zgadzają się w świadectwie, że przywiązanie samca do swojéj połowy, rzadko tylko oznacza się ową słodyczą i wiernością, jaka im powszechnie jest przyznawaną. Wiele w tém jednak jest prawdy co tu po krótce rozbierzemy.

Każdy zapewne uważał obyczaje tych ptasząt łagodnych i wiernych, nie rodzinnemu gniazdowi, ale dachom gdzie mają uchronę i żywność. Każdy uważał ich zgodę i wzajemną troskliwość. Skoro samiec obrał już swoję towarzyszkę, staranny jest o swoję postać i chce się podobać. Para łączy się na zawsze, ciągle widać ją razem jakby ślub zawarła. To pożycie ma czasem gorzkie swe chwile; zdarzają się gniewliwe uderzenia dziobem dane i oddane, ale pora wysiadania, godzi znowu małżonków.

Gołębica znosi zwykle dwa jaja na raz, wysiada je starannie, a gdy koło południa opuścić ma gniazdo dla szukania żywności, samiec pośpiesza miejsce jéj zająć, wysiada, i dzieli wszystkie macierzyńskie starania. Dzieci wylęgają się gołe i ślepe; wtedy pomnażają się troski rodziców, czuwają nad niemi z zadziwiającą pilnością, nawet wtedy, gdy latać już mogą. Zawsze prawie wylęga się para, złożona z samca i samki, gdyż natura chcąc aby te ptaki parami żyły, pamięta aby się równa ilość płci obojéj rodziła. Czasem zdarza sie wyjątek od téj zasady, co poznać daje szczegół, godny uwagi. Kiedy się razem samiec i samica wylęgną, obadwa ptaszki sadowią się jeden koło drugiego dzióbkami do siebie zwróconemi, jeżeli zaś są jednéj płci, obadwa mają dzióbki w jednę stronę zwrócone. To położenie zachowują ciągle od wyklucia się, aż do opuszczenia gniazda. Zapewniają, że dwa ptaki razem wylęgłe, nigdy się nie opuszczają, i zawsze do siebie są przywiązane. Miłość gołąbków ma swoje burze; często zatruwa ją zazdrość, któréj samce szczególniéj do zapamiętania podlegają. Przylatują do samic, zmuszają je wejść do gniazda, potém rzucają się na rywalów, a w walce zaciętéj dowodzą nie tylko siły ale i zawziętości. To jedno uczucie zniewala je do boju, bo zresztą nigdy nie dowodzą odwagi; któraj ako pozbawionym wszelkich środków obrony i zaczepki, zawsze byłaby niebezpieczną. Lot bardzo szybki, którym w krótkim czasie wielką przestrzeń przebywają, jest jedynym ich środkiem ujścia nieprzyjaciół.

Jak gołębie domowe lubią żyć w gromadzie, tak dzikie żyją w stadach prawie nie przeliczonych. To stowarzyszenie mające głównie na celu przestraszyć nieprzyjaciela, ma główny powód w szukaniu żywności ze zmianą okolic. Te ptaki czynne razem okazują rozum godny zastanowienia. Szczególniéj w Ameryce pułnocnéj, uważano obyczaje i cel ich częstych wypraw, które nie właściwie nadały im nazwisko ptaków wędrujących. Gołębie lecą daleko za żywnością, ale nie w celu szukania cieplejszego klimatu.

Wędrujące gołębie amerykańskie daleko mocniejszy mają lot, niż nasze Europejskie. Doświadczenia przekonały, że najwięcéj w sześciu godzinach przebywały przestrzeń na 120 mil francuzkich, to jest 20 mil tychże na godzinę. Nadto ich wzrok tak jest doskonały, iż nie zniżając się w locie, dostrzegają owoce i ziarna, któremi pożywić się mogą, i wtedy podróż się kończy. Przebywając miejsca bez żywności, lecą bardzo wysoko, rozwijają szeroki front, ażeby tém większą przestrzeń kraju przeglądać mogły. Zrobiwszy dobre odkrycie, spuszczają się w największym porządku, śledzą położenie, i z wielką ostrożnością spuszczają się na ziemię. Jeżeli czarny jastrząb, ów zbójca powszechny, zagraża tylnéj straży, wnet szeregi się ścieśniają, tworzy się gęsta kolumna, wykonywa najpiękniéjsze ewolucye powietrzne, albo spuszcza się ku ziemi z gwałtownością strumienia, lub z grzmotem pioruna. Kiedy powtarzanemi zygzaki wytrwałość nieprzyjaciela znużą, ogładzają pole z szybkością niepojętą, i wznosząc się znowu jak wspaniała kolumna, rozwijają swoje zakręty, naśladując (ale na skalę olbrzymią) zwijanie się węża.

Te wojska zajmują milę szerokości i w kilku godzinach odbywają swą podróż; obliczono, że w trzech godzinach jeden miliard sto piętnaście milionów gołębi przebyło. Ten wypadek dla tego tylko śmiemy tu powtórzyć, że go wszyscy podróżni i naturaliści zaświadczają. Tu można sobie wyobrazić, jak wiele ta massa potrzebuje żywności, i dla czego tak często miejsce odmienia. Kiedy wieczorem na nocleg się spuszczą, zakryją ogromną część lasu, są nawet miejsca, gdzie codzień wracają.

Sławny w Stanach Zjednoczonych naturalista, p. Andubon, naoczny świadek, tak mówi:

« Zwiedziłem raz to miejsce spoczynku niedaleko *Groen river* (zielona rzeka) w państwie Kentucky. Była to najpiękniejsza część lasu, gdzie drzewa wznosiły się do olbrzymiéj wysokości, na pniach prostych oddzielonych, gdzie nie było żadnych krzewów i gęstwy, mogącéj polot utrudniać. Bardzo znaczną część

tego lasu przebywszy, mało widziałem gołębi, ale mnóstwo myśliwych na koniach, z wozami pełnemi broni i prochu. Urządzono obozy w miejscu główném, gdzie się spodziewano gołębi. Dwaj dzierżawcy z okolic *Russelstown* przypędzili 300 świń, aby je w krótkim czasie pożywnym pokarmem z gołębi utuczyć. Tu ptaki w niezmiernych stosach przygotowane były do solenia, tam już zasolone leżały. Wszystko to wystawiało mi ogromne zebranie dające codzień sposobność prowadzenia daléj łowów tyle niszczących. Ale najwięcéj zdziwiony byłem, gdym się dowiedział, że te ofiary przybywają co wieczór z państwa Indiana, gdzie mnóstwo mają żywności, ażeby w Kentucky szukać uchrony pod zabójczym ołowiem myśliwych. Wylatując z okolic Jeffersonstown, ulatywały co wieczór sto mil francuzkich, i ze świtem wracały w swe miejsce. Cała przestrzeń ich siedliska okrytą była gnojem ptasim na kilka cali. Na widok tak ubielonego pola, połamanych gałęzi i drzewek, sądzićby można, że trąba powietrzna tę część lasu zniszczyła, i że ostra zima zaraz nastąpiła po burzy.

Czas się zbliżał, wszyscy myśliwi byli gotowi. Każdy według naznaczonéj powinności. Jedni nieśli siarkę w żelaznych garnkach, inni opatrzeni byli w żerdzie, lub tłuste smolówki sosnowe. Pierwsi myśliwi mieli podwójne i potrójne strzelby. Słońce już zaszło, jeszcze żadnego ptaka nie widać. Nagle zewsząd ozwały się głosy: *już lecą*! Szum jaki zbliżając się czyniły, podobny był świszczącéj burzy gdy szarpie liny i żagle okrętu. Gdy kolumna gołębi przeleciała nad moją głową, uczułem nadzwyczajny wiatr i nacisk powietrza. Zaraz od strzałów padły tysiące ptaków. Kolumna zwiększała się nieustannie. Ognie ze wszystkich stron zapalone, oświecały ten razem wspaniały i okropny, a w mojém życiu jedyny widok. Miliony przybywały gołębi, cisnęły się jedne na drugie jak pszczoły do ula, gałęzie łamały się pod ich ciężarem, i z niemi padały na ziemię; a łamiąc razem gałęzie niższe, zabijały wszystkie do nich przyczepione. Wśród tego zgiełku i zamieszania, próżno było odzywać się do sąsiada, sam krzyk gubił się w powszechnym zgiełku. Gdzie niegdzie tylko słychać było wystrzały fuzyj.

« Roztropność nakazuje nie przystępować z bliska do tego miejsca spustoszenia i rzezi. Nawet trzoda wstrzymywaną być musi do czasu, aż bezpiecznie wpuszczoną być może; dopiéro nazajutrz rano rozpoczyna się zbieranie pobitych i rannych. O północy dopiéro przestały się gołębie zgromadzać na to nieszczęśliwie umówione miejsce. Rzeź trwała aż do dnia. Gdy świtać zaczęło, łoskot odmienny moje uszy uderzył. Wszystkie gromady gołębi wzleciały razem szukać żywności, i zostawiły opuszczone swe grzędy. Wtedy od razu zmieniła się scena; usłyszeliśmy wilki wyjące, lisy, ostrowidze, niedźwiedzie i wszystkie krwiożerne zwierzęta wystąpiły z swych kniei korzystać z obłowu; daléj orły i jastrzębie, za niemi nienasycone kruki i wrony, czychały na korzyści z téj nocy okropnéj. »

Ta scena cudowna, skreślona przez świadka zasługującego na wszelką wiarę, podobną się zdaje do czarodziejskich powieści, i jest nowym dowodem nie wyczerpanych środków natury, których tajemnice jeszcze tak mało znamy.

ZDANIE CUVIERA O TEORYACH.

Sławny Cuvier, który usilném badaniem i nadzwykłą przenikliwością, tyle odkryć w historyi naturalnéj poczynił, i w mniemaniach o téj nauce tak wielkie zrobił wstrząśnienie, nie starał się nigdy utrzymywać jakowy obrany system, ale tylko odkrywać prawdę. Im daléj w wiadomościach postępował, tém bardziéj zdał się być przekonanym, że nie dosyć wié, ażeby mógł system utworzyć. Na krótki czas przed zgonem, tak mówił o teoryach w ogólności.

« Wiele bardzo badałem; sam sobie niektóre utworzyłem teorye, ale nie chciałem ich nigdy ogłaszać, bo często przekonywałem się późniéj, że były fałszywe, tak jak wszystkie systemata znane aż dotąd. Pewien nawet jestem, że w stanie dzisiejszym nauk, niepodobna jest utworzyć sobie teoryą, i to mię skłoniło, żem ciągle badał, i tylko same postrzeżenia udzielał publiczności. Nigdy nie należy pracować w tym celu, ażeby system jakowy utrzymać, bo wtenczas umysł staje się uprzedzonym, i to tylko postrzega, co mu się zdaje potwierdzać mniemania naprzód powzięte. Jedynym celem naszym być winno, odkrycie prawdy.»

MYŚLI.

Ciekawość jest największą pochwałą narodu. Ona jest wyłącznie człowiekowi właściwa. Zwierzęta nie mają o niéj wyobrażenia. Wyrabiaj co chcesz przed stadem owiec nie zajmiesz ich, jeśli ich nie dotkniesz. Gdy dają jaką oznakę tego co ciekawością zowiemy, wtenczas okazują tylko iż są przestraszone. Człowiek ciekawy jest więcéj człowiekiem, niż bez tego przymiotu. Lud ciekawy ma więcéj ludzi nad innych.

GALLIANI.

Kto o sobie coś trzymać może, ten nie jest zdolnym do pychy.

Rozpatrując się w zwierzętach, trudno się nie zanurzyć w podziwienie nad tajemniczym ich bytem. Jeden poeta nazwał je *snem natury, któréj obudzeniem jest człowiek*. Na jaki cel są stworzone? Co znaczą ich pojrzenia, które się ciemnym obłokiem osłonione być zdają, z zaktórego chciałaby się myśl przedrzeć?

DE STAEL.



LEW NA PRZYLĄDKU DOBREJ—NADZIEI.

Brzegi rzek Przylądka Dobréj-Nadziei, zapełnione są mnóstwem dzikich zwierząt, służących ludziom na pokarm. Sarny, dzikie kozy, błąkają się wszędzie po ich równinach. Lecz razem szakale, hyenny, rysie i lwy czychają na swoję zdobycz; ostatnie są szczególniéj liczne w tych stronach. Kiedy podróżny, albo mieszkaniec samotnego folwarku na spoczynek się uda, słyszy często ryk lwa do grzmotu podobny. W tym wyrazie nie ma żadnéj przesady. Lew kładzie się pospolicie na ziemi, schylając głowę na przednie łapy tak, że głos swój niejako po ziemi toczy. Jeżeli blizko są skały, wtedy echo jeszcze więcéj złudzenia dodaje. Kto chce mieć prawdziwe o tém zwierzu wyobrażenie, niech go nie ogląda w klatkach, łańcuchach, wynaturzonego i ugłaskanego kunsztownie, ale niech go widzi w całéj dzikiéj swobodzie. Zupełnie co innego jest lew w Afrykańskiéj pustyni, a co innego w menażeryach i na jarmarkach. Upały niezmiernych stepów Afryki pułnocnéj, zdają mu się dodawać wściekłości, którą jeszcze powiększa głód, trudny w tych stronach do uśmierzenia. Głodem ścigany, nie zna lew żadnego niebezpieczeństwa. Napada zwierzęta i ludzi; a nawet karawana nie zawsze jest pewną, jeżeli mu wielbłąda, lub mułą nie poświęci. Gdy noc nadejdzie, wtedy okropna głuchość pustyni przerywaną bywa przeraźliwym głosem wilków, szakalów i hyen; ale gdy wtenczas lew głodem dręczony zaryczy, nagle wszystko umilknie. Między góry i rozpary, które pustynią ograniczają i przerzynają, wszystko się w trwodze rozpierzcha; rykiem wszelkie inne stworzenia ostrzega, aby umilkły i uciekały, aby swojéj obecności nie zdradziły.

Strzelbą daje się pospolicie odstraszyć, ale gdy go głód zmusza, wtedy czycha we dnie w jaskini swojéj na podróżnego; napada go nagle, psy jego, lub konia. Często lew z lwicą wychodzą na zdobycz i napadają konia, który im nad wszelkie inne zwierzę jest pożądańszy. Mało jest mieszkańców na Przylądku, którzyby ze lwem spotkania nie mieli. Ostrzeżeni stratą jakiego bydlęcia, właściciele ziem zgromadzają się razem, aby wyszukać nieprzyjaciela, i przeto nowéj szkodzie zapobiedz. Do tego trzeba wielkiéj odwagi i roztropności. Osadnik Rennié straciwszy konia, zajął się szukaniem śladów onego. Hottentoci wnet mu wyśledzili pobyt lwa, który jeszcze spokojnie leżał przy swojéj zdobyczy, a po niejakiéj przewłoce, w parów zarosły się schronił. Strzelcy rozstawili się na wzgórzach, strzelali w gęstwinę, lecz, ani lwa trafić, ani go splo-

szyć nie mogli. Nakoniec sam Rennié odważył się pójść między zarośle, a za nim śmiały towarzysz. Wiele narzucali kamieni, a nim się spostrzegli, lew ku nim wypadł. Rennié byłby zginął, ale pies jego rzucił się na lwa i odwagę swoję życiem przypłacił. Jedno uderzenie łapą odebrało mu życie. Rennié zdołał jednakże na bok odskoczyć. Tymczasem zaczęto mocno strzelać, i nieprzyjaciel poległ.

Godną jest uwagi walka ze lwem wieśniaka Gert. Szedł on do ukrytego źródła, oddawszy broń spólnikowi swojemu. W chwili, gdy się przez krzewy przedziera, wypada lew ogromny, i chwyta go za lewe ramię. Wieśniak przelękły zachowuje jednak przytomność, nie rusza się wcale bacząc, iżby to życiem przypłacił; lecz przytém wlepił w niego oczy nie poruszone. Wiadomo iż ten zwierz dziki, nie może znieść śmiałego wzroku człowieka. Lew nie gryzie, ale zostaje ciągle w jednéj postawie, trzymając go za ramie szponami i zębami. Gert miał tyle przytomności, iż dał znak spólnikowi swojemu, aby go wystrzałem z okropnego położenia wybawił. Ale tamten z bojaźni ucieka. Lew ciągle jest nie poruszony, i nie śmie wydobyć się z pod oka człowieka. Może nawet byłby zupełnie zdobycz swoję porzucił. Ale w chwili tak wątpliwéj, Gert stracił cierpliwość, wolną ręką wyciąga nóż z pochwy, który mieszkańcy tamtejsi zawsze mają przy sobie, i wraża go nieprzyjacielowi w piersi. Rana była śmiertelną, ale lew tak jeszcze się pomścił, że Gert okropnie rozszarpany, trzeciego dnia żyć przestał. Lecz i tygrysy, czatują pospolicie około źródeł gdzie biedne zwierzęta słabsze, pospolicie udawać się muszą, i tak zdobyczą się stają. Wiele jest przykładów iż lew głodem nie naglony, nikogo nie napada, i że bardzo często wspaniałym być umie. Gromada chłopów umyśliła polowanie na lwa, który kilka sztuk bydła jéj porwał. Przybyli szczując go mnóstwem psów, ale lew spokojnie leżał, czasem tylko położył psa, który się zbyt śmiało zapuścił. Ale poruszony kilku strzałami ruszył się wściekły, że wszyscy pouciekali; jeden tylko Hottentot który nie zdążył, w tém szukał ratunku, iż się na ziemi jakby nieżywy położył. Lew wąchał go, poruszył łapą, siedział nad nim spokojnie, aż zwolna oddalił się w góry.

Lew na Przylądku niezmiernie jest silny i chybki; wołu, konia, lub antillopę niesie na plecach o milę. Zgoła ile niepodobnym jest koń pocztowy do dzikiego, który buja po stepach, ile wół w jarzmie, do wołu w Andaluzyi na igrzyskach walczącego, tyle dalekim jest lew z menażeryi od żyjącego w lasach Afryki. Lew przez dzień spokojnie spoczywa w jaskini, ale w nocy ryczy głosem piorunnym, a nie potrzebując chytrości ani zasadzek, wyzywa mieszkańców pustyni do walki. Wszystkie uciekają z przerażenia, wszystkie są ogłuszone, zmartwiałe z przestrachu, gdy jego zjeżoną grzywę i wzrok iskrzący zobaczą. Odyniec zapomina ostrych kłów swoich, wół rogów, a piękny i szybki koń staje jak wryty. Ostrym szponem rzuca je lew o ziemię, drugiém uderzeniem otwiera kurzące się wnętrzności, a resztę zdobyczy innym zostawia. Załączona rycina wystawia napad onego na lamparta, lubo to chyba na igrzyskach rzymskich widziane być mogło, gdyż ten zwierz nader czujny i zwinny, rzadko z przemożnym nieprzyjacielem się spotka.

WALTER-SCOTT.

Chcącemu mówić o tym najsławniejszym naszego wieku pisarzu, nasuwa się najprzód uwaga, jakim cudownym sposobem potrafił zajmować cały świat cywilizowany ten, którego wyobraźnia żyła prawie wyłącznie w zgasłéj i zapomnianéj Szkocyi; który w tak czynnym, samą niepewną przyszłością zajętym wieku, nic z nim prawie nie dzieląc, oddał się z zamiłowaniem czasom i obyczajom, jakie nigdy powrócić nie mogą; który wreszcie najdalszym był od schlebiania jakiejkolwiek czasowéj namiętności, chociaż ku temu w głębokiéj znajomości ludzi wszelkie miał środki; który wreszcie zupełnie przeciwną od niebezpiecznego rywala Byrona obrał drogę do sławy i spokojnie na starym zamku przodków Szkocyi, wychodował sobie niezwiędłe laury, za któremi się Byron, wśród burzy w sercu, po burzach morskich uganiał. Byron miotany niepozbędnym duchem, chciał siebie, chciał w sobie człowieka odgadnąć, wygorzał szybko, jako nadzwyczajne zjawisko; Walter-Scott wyparłszy się swojéj indiwidualności, został tylko spokojnym malarzem natury, ludzi w każdym stanie i położeniu, tworząc charaktery z historyi, i historycznemi czyniąc utwory imaginacyi. Prawda i wierność w malowaniu łączyć się w nim zdaje dwie przeciwne krainy: fikcyą i rzeczywistość, jak ciało z duszą. Jeżeli tamten wyobraża morze wzburzone, którego widok jest razem wzniosły, okropny i tajemniczy, ten jest tylko czystém zwierciadłem spokojnéj wody, które z wiernością czarujące obrazy nieba i ziemi odbija. Dla tego Byron miał swoich najgłębszych wielbicielów w tych, którzy mocno czując, jego uniesienia dzielili; sława Walter-Scotta była powszechniejszą, bo tenże malował powszechną naturę ludzką, a prawda poetyczna, obyczaje i charaktery, tak są w nim jasne, wyraziste i wierne, jak opisy nieżyjącéj natury. Najlepszy malarz widoków, jest oraz jak Rembrandt jedynym w swoim rodzaju charakterów malarzem. Wziętość pism jego dowodzi, że ludziom równie jest drogą spokojna prawda poetyczna, jak i najwyższe uniesienia gwałtownie czującéj duszy.

Pisma jego ciągle wychodzące żywiły po wszystkich krajach, mnóstwo księgarzy, tłumaczów i naśladowców; zajmowały bez różnicy

płci i wieku równie salonowe wieczory, jak tych, którzy po pracach przy warsztacie przyjemnie wytchnąć pragnęli.

Syn prawnika, urodzony r. 1771. przeznaczonym był do tegoż stanu; bo największéj części poetów i filozofów przeznaczeniem było, przechodzić w młodości przez tę naukę, do któréj rodzice i pomyślna przyszłość, na próżno ich zachęcają. Ale niepozbędna natura gdzie indziej ich woła. Młody Scott chociaż z korzyścią sposobił się do zawodu ojca swojego, lubił dumać po starych zamkach, zwiedzać pełne historycznych wspomnień okolice, wpajać sobie w pamięć najpiękniejsze położenia, zbierać dawne podania i pieśni ludu, tudzież w starych i zarzuconych księgach, czytać przeszłość Szkocyi. Przedmiotom, które jego czucie i wyobraźnią rozwinęły, cały się poświęcił; był do śmierci i coraz z większém zajęciem, wdzięcznym niejako synem téj ziemi i téj przeszłości, która go wychowała.

Zebrane przez niego ojczyste ballady, i niektóre własne początkowe poezye, nie zyskały jeszcze żadnéj wziętości. Więcéj cenione były późniejsze tłumaczenia *Leonory* Bürgera i Dramatu Goethego *Götz von Berlinchen*. Późniéj od r. 1802 wydane poemata: *Tristram*, *Marmion*, *Pani Jeziora*, *Lord wysp*, *Pieśni ostatniego Barda i Rokeby*, utwierdziły sławę Walter-Scotta nie tylko w własnéj ojczyznie, ale i w całéj Europie. Wmarzenie się w czasy już na pół do podań bajecznych należące, przejęcie się duchem bardów starożytności, i malowanie znikłych czasów, tak jak oni co na nie patrzyli, korzystanie z wszelkich szczegółów, jakie z ojczystéj starożytności wyczerpał, nadewszystko zaś prawda, świeżość i naoczność obrazów, są główną cechą tych poematów. Wszystkie atoli nie wskazują, ani cienia individualności poety, ani wieku w którym je pisze, maluje jedne tylko wieki, jednakie obyczaje, ztąd przy płodności autora, późniéj wychodzące nie mogły już zajmować nowością, co szczególniéj uczuł Walter-Scott po wydaniu ostatniego poematu *Rokeby*. W tym właśnie czasie zwrócił na siebie powszechną uwagę Byron, który gwałtownie i wcale w nową przestrzeń od barda Szkockiego się rzucił. Ten niknął zupełnie w przedmiotach, których był malarzem, wypierając się wszelkiéj swojéj osobistości, i był w całym znaczeniu najdzielniejszym poetą-malarzem, ale malarzem tylko; tamten przeciwnie, wszystko co go otaczało wpoił w swoję individualność, i wewnętrzny, swój własny świat skołatany na jaw wynurzył; ten świat był przerażający jak piekło, pełny niepokoju wątpliwości, bez rzeźwiącego powiewu, bez promyka nadziei, był obrazem duszy z wielkości strąconéj i boleśnie wielkość upadłą czującéj.

Z takim zdobywcą nowego świata poezyi, nie mógł iść Walter-Scott w zapasy; od pięknych łagodnie oświeconych jego krajobrazów, zwrócił na siebie uwagę wszystkich ten, który jak żywioł ognia, sam siebie trawiący, wzniosły i przerażający wystawiał widok.

Walter-Scott usunął swoje imię ze świata literackiego i jako *Nieznajomy*, późniéj wielkim Nieznajomym nazwany, i obrał sobie nowy zawód historycznych Romansów, które dla naszych czasów tém są, czém u starożytnych były Epopeje.

Od roku 1814, aż do roku śmierci (d. 21 września 1832) począwszy od Wawerleja, wychodziły ciągle prawie co puł roku jego romanse, których równie liczba jak nie wyczerpana obfitość, nie mogła nasycić ciekawości publicznéj. Największą ich część winien jest dawnym narodowym podaniom i kronikom, i mało kto mógł się spodziewać, że prawnik oddany w pierwszéj młodości poszukiwaniom zbutwiałych przywilejów i herbów, wywoła z nich żyjącą przeszłość. Jego własnością jest przenikająca uwaga na świat zewnętrzny i serce człowieka, zdolność wyszukania w każdym stanie wieku, i położeniu zajmujących rysów natury, artystowska bezstroność w uważaniu śmieszności i zalet, cnót i zbrodni, obłędów i przymiotów wieku; smutnéj i pocieszającéj strony natury ludzkiéj; nadewszystko zaś pewny, mistrzowski pędzel, który najmniejszego śladu drżenia nie zdradza wtedy nawet, gdy największe namiętności maluje. Sam zdał się mieć tylko passyą do okolic, gór, jeziór i lasów, które żywo najpiękniéj oświecone wystawia, ale może za często, i zbyt szczegółowo. W wystawianiu charakterów on pierwszym po Szekspirze jest mistrzem, z tą zdaje mi się różnicą: że jak tamten w szczególnéj wyższości swojéj na zbrodnie i cnoty, cierpienia i usiłowania ludzkie z zimną zdaje się patrzyć obojętnością, tak ten jest tylko bezstronnym, wszędzie zarówno w duchu pobłażania patrzącym ich świadkiem.

Walter-Scott obudził mnóstwo naśladowców w tym nowym rodzaju romansów, bo nic nie zdaje się łatwiejszém, jak czynić opisy wszelkich pod oczy wpadających szczegółów, jak niedostatek wynalazku, zastąpić wyjątkami z kronik, i pod godłem romansu wyzuć się z obowiązku wierności historyi, i uczynić ją romansem, albo romans historyą. Powszechność czytających tak już jest włożona w romanse tego rodzaju, iż w nich tylko o poetyczną prawdę się pyta, bynajmniéj się o historyą nie troszcząc. Dzieje. są u niéj tylko martwym obojętnym materyałem do obrobienia przez artystę. Tracić się zdajemy pojęcie tego, że historya sama przez się jest świętém drzewem narodu którego ostrzygać, wyrabiać z niego figur dla zabawy nie wolno. Dzieje bajeczne należą zupełnie do poezyi i w nich tylko niech poeta wyszukuje swą prawdę. Ale dzieje, które już wystąpiły na widnią wieków, stanowiące nie rozerwane ogniwo w życiu ludzkości, dzieje samą prawdą uczyć mające, te nie



(Walter-Scott.)

mogą dowolnie być zamieniane w bajeczność, i mężowie w dziejach znakomici, nie powinni występować przed nas jak utwory fikcyi. Gdy Herodot jako dziejopis, na igrzyskach greckich wystąpił z czytaniem dziejów swoich, bajecznych w części, ale zawsze z prawdziwością pisanych, tak zajął spółziomków, jak poeci i artyści, i jednaki z niemi wieniec pozyskał. I odtąd była historya Muzą saméj prawdy, w bajkach nawet prawdy szukającą i broniła prawdy ważne, naród zajmujące, w zmyślenia przemieniać.

Ale z prawdą historyczną może zawsze łączyć się prawda poezyi, jeżeli pisarz dziejów ma czucie ducha filozoficznego i geniusz artysty. Dla tego, jak z jednéj strony bard Szkocki dał powód do niejakiego znieważenia historyi przez romansistów, tak z drugiéj, historyą samę na dawną, a zatraconą naprowadził drogę.

Skoro właściwe kroniki pisane w duchu prawdziwości i prostoty ustały, pisano dzieje bez względu na ducha ich wieku, na charakter i obyczaje ludu. W Paryżu np. łączyła się cała Francya, cały Paryż w Wersalu. Wolter nadał właściwszy kierunek historyi, ale ją uczynił tylko narzędziem do utwierdzenia w czytelnikach własnych swych mniemań. Historycy stali się więcéj sędziami dziejów według czasowych wyobrażeń, niżeli wiernemi świadkami i malarzami. Walter-Scott romansami swojemi zwrócił uwagę na tę jednę z najważniejszych zalet historyi. Sposób pisania onéj przez panów Thyerry, Barante i Capefigue zachowujący dawny koloryt obok sztuki kompozycyi, upowszechni pożyteczne zamiłowanie w dziejach przez Walter-Scotta wzniecone, jeżeli jeszcze historycy niebędą poprzestawać na samém malowaniu zwyczajów, ubiorów, form i przesądów dawnych, ale oraz główny cel dziejów mieć zechcą na oku: to jest naukę i pociechę z życia, usiłowań i przeznaczeń narodów wynikającą; takiéj historyi szczególniéj Sławiańskim ludom życzyć należy.

Oprócz poezyi i romansów, Walter-Scott pracował w różnych rodzajach literatury.— Wzbogacał ciągle *Revue* Edimburgską artykułami krytycznemi, objaśnieniami starożytności, wydawał i objaśniał starożytne poezye, i dzieła nowszych niektórych poetów; dzieło O cudowności, O poezyi dramatycznéj, it. p. Publiczność najwięcéj obiecywała sobie po *Życiu Napoleona*, ale powołaniem Walter-Scotta nie było, obecne czasy, brzemienne w przyszłość, malować.

Walter-Scott zrobił z pism swoich bez przykładny w dziejach literackich majątek. Na sześć milionów franków liczą dochody, jakie mu jedynie pióro jego przyniosło. Fortuny swojéj, tak pięknie zarobionéj, używał przyzwoicie upiękniając zamek swój Abbotsford i ulepszając w dobrach swoich rolnictwo. Połączył się r. 1798 związkiem małżeńskim z Miss Carpenter, którą na kilka lat przed śmiercią utracił, a która go czworgiem dzieci uszczęśliwiła.

Upadek wydawcy dzieł jego Constable pociągnął za sobą ruinę Walter-Scotta, i wprawił go w przykre położenie. Zażądał lat 10ciu do uiszczenia się wierzycielom, a oddawszy się pracy niezmordowanéj, na nowo sobie majątek zapewnił; atoli tenże nie okazał się po śmierci poety dostatecznym do zapłacenia dłużników, i rodzina jego już się zabierała do sprzedania zamku Abbotsford, gdy czciciele geniuszu przez składkę w ojczyznie i w obcych krajach, umyślili ocalić tę historyczną pamiątkę po mężu, który sam tyle historycznych pamiątek ożywił.

Do najzawołańszych uczniów Walter-Scotta, mógłby się liczyć Alexander Bronikowski, gdyby wszystkim swym pismom nadał był równą żywość i wykończenie, jakie go w *Boratyńskim* zalecają.

Lady Morgan rodem z Irlandyi, wzięła także za wyłączny prawie przedmiot swoich romansów, dawne dzieje Irlandyi, i w tém usiłuje równać się z autorem Wawerleja. Ale Irlandya ma dotąd jedynego reprezentanta swojéj poezyi i przeszłości w poecie Tomaszu Moor. O romansach pani Morgan powiedziano, iż daleko więcéj widać w niéj chęci własnéj sławy, niż miłości kraju, a daleko mniéj dumy narodowéj, niż próżności osobistéj. Zawsze ona maluje Irlandczyków; ale jest Irlandka, którą nadewszystko z uniesieniem wystawia, a tą Irlandką jest — ona sama.

WYDAWCY: Bossange père, Jan Glücksberg, Józef Kaczanowski, August Emanuel Glücksberg.
w Warszawie, w Drukarni przy Ulicy Rymarskiéj N. 744.